



Rozmowy pod patronatem dziekan prof. Aliny Maciejewskiej z okazji zbliżających się rocznic 100-lecia odnowienia tradycji Politechniki Warszawskiej oraz 95-lecia Wydziału Geodezji i Kartografii

Aleksander Skórczyński: Student powinien i wiedzieć, i umieć

GEODETA: Zacznijmy od pana rodziny.

ALEKSANDER SKÓRCZYŃSKI: Mój ojciec był nauczycielem, z wykształcenia historykiem, ale po wojnie stwierdził, że nie będzie uczył naszej młodzieży „nowej historii”, więc uczył fizyki w gimnazjum na warszawskiej Pradze. W mojej rodzinie zdarzali się ludzie uzdolnieni matematycznie, to nie tylko ojciec i ja. Do tego miałem wielkie szczęście do nauczycieli. Chodziłem do liceum im. Limanowskiego na Żoliborzu, gdzie polskiego uczył mnie profesor Zdzisław Libera, który wiele lat był dziekanem polonistyki na Uniwersytecie Warszawskim. Prowadził dla nas fantastyczne wykłady.

Kiedy wybuchło Powstanie Warszawskie, mieliście z bratem 13 i 14 lat. Nie ciągnęło was, żeby pójść i postrzelać?

Czy się chciało, czy nie chciało, to czasem trzeba było pomóc. Na przykład donieść zaopatrzenie AK-owcowi, który siedział gdzieś wysoko na piętrze i bronił dojścia od strony Krochmalnej do dziury przechodzącej na ulicę Grzybowską. Jak się tam pojawiali ukraińscy SS-mani, to ich likwidował. Kiedyś, gdy Niemcy otoczyli nasz dom, wyniosłem pod koszulą sporą sumę w dolarach. A w tapczanie leżała przez jakiś czas dokumentacja AK-owska. Do tego przeniesienie tajnych gazetek...

Jak człowiek był przywoity, to trzeba było się włączyć?

Tak, ale nie uważało się tego za jakieś wielkie osiągnięcie.

Przecież za to groziła śmierć!

Granica była jasna, to są okupanci, a to jesteśmy my.

A co z pana edukacją?

Kiedy mieszkaliśmy na Senatorskiej, chodziłem do szkoły podstawowej na Miodowej. Następnie dostałem się do spółdzielczej średniej szkoły handlowej przy placu Trzech Krzyży. Tam skończyłem pierwszą klasę, tam nauczyli mnie księgowości i stenografii. Bardzo mi się to później przydało. Powstanie przerwało naukę. Dopiero w 1947 r. wróciliśmy znowu do Warszawy i ojciec zapisał mnie do LO im. Limanowskiego.

No i wreszcie Politechnika.

Tak, zdawałem na inżynierię lądową, ale nie należałem do Związku Młodzieży Polskiej, więc organizacja wystawiła mi taką opinię, że na PW w ogóle nie chcieli ze mną gadać. Nie zostałem nawet dopuszczony do egzaminu wstępnego. Ale mój matematyk z liceum, profesor Hornowski, znał profesora Straszewicza z Politechniki, też matematyka. Jak Hornowski się dowiedział, co ze mną, to porozumiał się ze Straszewiczem, który był szefem komisji egzaminacyjnej w drugim terminie, i dostałem zezwolenie na zdawanie tego egzaminu. ZMP-owcy myśleli oczywiście, że obleję, a ja zdałem.

Ale jeszcze jedno świństwo chcieli mi zrobić. Poszedłem do ich sekretariatu (bo to nie do dziekanatu się wtedy szło po wyniki) i pytam się tych „towarzyszy”, czy zostałem przyjęty. Powiedzieli, że tak, ogłoszenie wisi w gablocie. Pytam, czy na Wydział Inżynierii Lądowej? – Tam jest wszystko napisane, odpowiedzieli.

Aleksander Skórczyński urodził się w 1930 r. we Włocławku. W 1956 r. ukończył studia na WGiK PW. W latach 1956-61 pracował w PPG w Warszawie, a w latach 1961-62 w BPBW. W 1962 r. został zatrudniony na stanowisko asystenta w Katedrze Rachunku Wyrównawczego na WGiK PW, gdzie pracował do 1988 r., kiedy to objął stanowisko kierownika Zakładu Geodezyjnych Pomiarów Szczegółowych w Instytucie Geodezji Gospodarczej. W 1967 r. uzyskał stopień doktora nauk technicznych, w 1979 r. doktora habilitowanego, a w 1991 r. tytuł profesora. Pełnił funkcję prodziekana ds. studenckich (1981-85 oraz 1990-96), a także wicedyrektora ds. nauczania w IGG (1987-91). Od 2005 r. jest profesorem Uczelni Warszawskiej im. Marii Skłodowskiej-Curie. Jego zainteresowania skupiają się wokół teorii wyrównania i analizy dokładności układów geodezyjnych.



Aleksander Skórczyński już w czasie studiów polubił pracę z instrumentami

A wiadomo, ile w Gmachu Głównym jest korytarzy. No i chodziłem od gablotki do gablotki, ale miałem szczęście, bo już na pierwszym piętrze trafiłem na gablotkę jakiegoś Wydziału Geodezji. Pamiętam do dziś, z prawej strony na dole była mała kartka: „W drugim terminie egzaminu zostały przyjęte na Wydział Geodezji następujące osoby”. Miałem pozycję siódmą. Od razu pobiegłem do dziekanatu, bo już miałem powołanie do wojska, wziąłem zaświadczenie, które zwolniło mnie z odbycia trzyletniej służby wojskowej. Potem wyrobiłem sobie legitymację, zorientowałem się, w której grupie jestem, zgłosiłem się do tej grupy i Wydział skończyłem.

Czyli geodezja to był zupełny przypadek?

Nie wiedziałem w ogóle, co to jest. Z czym to się je, z musztardą czy z cukrem. Próbowali mi zrobić na złość, a tak naprawdę, to nie mogłem lepiej trafić. Ja po prostu lubię liczyć, a na geodezji 40% pracy to przecież rachunki. Prócz tego w geodezji zawsze można było znaleźć zajęcie, przynajmniej do niedawna.

Był pan dobrym studentem?

Tak, dobrze się uczyłem. Zdobyłem wprawę w liczeniu, co mi się bardzo przydało. Oprócz tego w szkole średniej szedłem jako ostatni rocznik według starożytnego, przedwojennego programu nauczania. Zaliczyłem 4 lata gimnazjum i 2 lata liceum w klasie matematyczno-fizycznej. Tak więc ćwiczenia z matematyki na pierwszym roku to była dla mnie frazjka. Miałem więcej czasu na przedmioty kierunkowe, bo na początku była to dla mnie abrakadabra. Ale od razu polubiłem ćwiczenia z instrumentami.

Czy na uczelni nadal miał pan szczęście do dobrych nauczycieli?

Tak. Wykład z geodezji na I roku prowadził profesor Jan Piotrowski, a na II roku profesor Tadeusz Lazzarini, następną

postać, która miała swój wymiar. Jeżeli idzie o przedmiot kierunkowy, czyli rachunek wyrównawczy, to prowadził go prof. Stefan Hausbrandt. Rzecz ciekawa, jeszcze będąc studentem, pracowałem na Politechnice w Katedrze Matematyki u profesora Szymańskiego i samodzielnie prowadziłem ćwiczenia na I i II semestrze jako zastępca asystenta. Były to wczesne czasy powojenne, a ponieważ w czasie wojny Niemcy i Rosjanie wymordowali naszych profesorów, to nie za bardzo miał kto uczyć. Dlatego na uczelni łapali takich młodych zdolnych.

Ostatecznie zatrudnił się pan w przedsiębiorstwie produkcyjnym.

W Państwowym Przedsiębiorstwie Geodezyjnym początkowo pracowałem w Wydziale Obliczeń i Pomiarów Specjalnych, gdzie wykonywaliśmy wyrównanie polskiej sieci triangulacji zagęszczającej. Płacili tam 1000 czy 1100 zł pensji zasadniczej, a resztę dorabiałem w akordzie. W sumie wychodziło 2700-2800 zł. Mój szef, z którym liczyłem „na drugą rękę” (bo wtedy wszystko liczyło się z kontrolą, na kręciolkach albo na półautomatach elektrycznych), zarabiał 3000-3100 zł, czyli tylko 200, 300 złotych więcej ode mnie. On pracował przy obliczeniach parę lat, a ja przyszedłem prosto po studiach, więc byłem zadowolony.

Po kilku latach skierowali mnie do Wydziału Triangulacji. Wykonywałem tam triangulację zagęszczającą – komplet prac. Szybko okazało się, że mam oko do pomiarów. Nieraz kierowali mnie do pomiaru kątów, kiedy innym nie wychodziły kontrole na punktach triangulacji do Wydziału Renowacji Sieci. Na terenach poniemieckich pozostała założona przez Niemców sieć triangulacyjna, ale nie było już wież, a nawet słupów w niektórych punktach tej sieci. Udało mi się znaleźć

jeszcze dwa punkty niemieckiej sieci triangulacji pierwszego rzędu, których koledzy szukający przede mną nie znaleźli! A ja znalazłem, ponieważ umiałem liczyć. Odnalezienie takiego punktu generowało wielkie oszczędności. Koszt budowy jednej wieży triangulacyjnej pierwszego rzędu (stanowisko jest czasem 25-30 metrów nad ziemią!) był ogromny. Aż sam się dziwiłem, ale znajdowałem też liczne punkty czwartej, trzeciej klasy odpowiadające dokładnością naszej triangulacji zagęszczającej.

A co pan wołał: obliczenia w biurze czy pracę w terenie?

Jeżeli idzie o zarobek, to wołałem teren. Jeżeli szła zima, to wołałem pracę w biurze. Ale bywało, że mróz, śnieg, a ja jechałem w teren, bo zimą dostawialiśmy za pomiar jednego kąta w 6 seriach tyle, ile latem za całą wieżę, więc się bardzo opłacało.

Jak człowiek wejdzie na taką wieżę, to czuje respekt dla wysokości?

Trzeba było cały czas uważać. Nie zawsze jest zamykany otwór, którym się wchodzi. Nie można się mocno opierać o elementy drewniane chroniące przed wypadnięciem, ale oprócz tego jest jeszcze słup, na którym znajduje się stolik z instrumentem, i tego stolika też nie powinno się dotykać. A jak już się ustawi i scentruje instrument, należy delikatnie obsługiwać śruby zaciskowe. Jeśli się nie przestrzega tych zasad, to pomiar nie wyjdzie.

Nie żał panu krajobrazu z wieżami?

Cóż, wiadomo, że jeżeli rzecz jest zrobiona z drewna i stoi pod chmurką, to drewno prędzej czy później się rozsypie, spróchnieje. Gdy wieże stały, to łatwiej było trafić na punkt. Dzisiaj nie ma już takiej potrzeby.

Dlaczego zdecydował się pan odejść z przedsiębiorstwa na Politechnikę?

W produkcji właściwie każde zadanie było już dla mnie typowe. To stało się nużące i denerwujące. Ciekawe było jedynie, czy dokładnościowo praca mi wyjdzie. Ale na tym przejściu sporo straciłem finansowo. Pierwsza pensja na uczelni to było niewiele ponad tysiąc złotych, a w przedsiębiorstwie, jak mi podeszła robota, sprzyjała pogoda i teren był dobry do stabilizacji, to potrafiłem zarobić i 10 tysięcy miesięcznie. Początkowo dorabiałem korepetycjami, ale później nie było na to czasu. Trzeba było przygotować zajęcia, publikować artykuły, no i przecież student powinien mieć podręcznik. Napisałem więc z kolegami Jerzym Gaździckim i Michałem Gałdą dwa skrypty: „Ćwiczenia z obliczeń geodezyjnych i rachunku wyrównawczego” oraz „Metody obliczeń geodezyjnych i rachunek wyrównawczy”.

Trzeci skrypt – „Wykłady z rachunku wyrównawczego i obliczeń geodezyjnych” – opracowałem sam. Dwadzieścia dwa lata pracowałem w rachunku, wykładałem, no i coś niecoś zrobiłem, np. napisałem dwa podręczniki akademickie. Potem byłem kierownikiem Zakładu Geodezyjnych Pomiarów Szczegółowych w Instytucie Geodezji Gospodarczej.

Rachunek wyrównawczy to trudny przedmiot. Niewiele studentów ma dobre wyniki, a komputery załatwiają im sprawę.

Nie chodzi mi o to, żeby student wiedział, jaką sekwencję klawiszy nacisnąć, by wprowadzić do programu dane i wyrównać coś, powiedzmy, metodą pośredniczącą. On musi rozumieć istotę rzeczy. Ale jeśli na studiach zaocznych w ciągu 5 miesięcy dostają zaledwie cztery spotkania ze studentami po 2 godziny wykładu i 3 godziny ćwiczeń, to czego ich mogą nauczyć? Dawniej na studiach magisterskich rachunek wyrównawczy prowadziłem przez 4 semestry. Ale jak może być dzisiaj dobrze, jeżeli o sprawach programu decydują ludzie, którzy nigdy nie powąchaliby praktyki!

W latach 70. sporo wykładowców z Politechniki wyjeżdżało za granicę. Nie ciągnęło pana?

Nie. Oprócz tego, że pracowałem na Politechnice, miałem koło Włocławka parę hektarów ziemi, gdzie prowadziłem gospodarstwo. Całe lato miałem zajęte. Jako profesor zwyczajny umiem na przykład postawić stóg. Byłem więc wziętym sołtysikiem. Za to dostawałem od sąsiadów do dyspozycji parę koni, które mi się przydawały, albo przyjeżdżał facet z siewnikiem i mi zasiał pole.

A jak się panu udało przejść suchą stopą przez „morze czerwone”?

To nie była sucha stopa. Mówiłem, jakie miałem kłopoty z dostaniem się na uczelnię. A później też nie było łatwo. Na przykład robiłem dwie habilitacje.

Jak to?

Pierwsza nie została zatwierdzona. Ktoś pchnął ją do matematyków, a ja przecież nie robiłem habilitacji z matematyki.

Przypadek?

No proszę nie żartować. Nawet wiem kto. Potem po habilitacji dwa lata czekałem na stanowisko docenta. Jakby nie zmiany związane ze zbliżającym się sierpniem 1980 r., które już było czuć przez skórę, to może bym i tego docenta nie dostał. Na naszym wydziale prowadzono bardzo dziwną politykę kadrową. Kto tylko dojrzał naukowo, po krótkim czasie musiał opuścić wydział. Sporo wartościowych osób odeszło. No i nigdy nie zaproponowano mi stanowiska profesora zwyczajnego na Politechnice.

Kiedy prof. Andrzej Makowski został usunięty ze stanowiska dziekana, pan jako zastępca ustąpił sam...

Jeżeli dziekan, który mnie powołał, został zwolniony, to nie było innego wyjścia. To kwestia niewymagająca żadnej dyskusji.

Czy wywierano na pana naciski polityczne?

Mnie nazywali „chłopouczony”, bo miałem ten kawałek ziemi, i paradoksalnie dobrze mi to robiło, bo osłabiała możliwość i skuteczność nacisków.

A był taki moment, kiedy myślał pan, że wyrzucą pana z Politechniki?

Mało kto o tym wie, ale w mieszkaniach kolegów partyjnych odbywały się specjalne zebrania, na których zastanawiano się, co zrobić, aby na uczelni pracowało nie więcej niż, powiedzmy, 10% niepartyjnych, a reszta, żeby była partyjna. To była głupota rządzących świadcząca o tym, że ludzie ci stracili rozeznanie. Jeżeli ktoś idzie pracować na uczelnię, to nie powinien mieć jakiegoś koloru politycznego, tylko być zdolnym i dobrym specjalistą. Geodezja to jednak kierunek techniczny, a kierunek techniczny wymaga dwóch ważnych rzeczy. Po studiach humanistycznych na ogół student powinien wiedzieć, a po studiach kierunkowych, technicznych student powinien, po pierwsze, wiedzieć, a po drugie, umieć, czyli mieć umiejętności.

Czy obecnie w geodezji i w zakresie rachunku wyrównawczego jest jeszcze pole do jakichś działań naukowych, czy już je wyczerpaliśmy?

Nie wierzę, żeby nie było pola do działań naukowych. Wchodzą nowe instrumenty, nowe metody i one na pewno też będą wymagały opracowania. I być może rachunek wyrównawczy, metoda najmniejszych kwadratów wcale nie jest tak do wyrzucenia. Na przykład, bawiąc się w sprawy giełdowe, w dwóch bodaj przypadkach zorientowałem się, że można pewne problemy rozwiązać, stosując właśnie metodę najmniejszych kwadratów. Dalej, teraz dużo mówi się o „frankowiczach”. Opracowałem dla własnej przyjemności temat pod tytułem „Inwestycje w obcej walucie”.

Pan ciągle rozwiązuje jakieś nowe problemy!

Jeżeli nie mam co robić, to jestem chory, a jeżeli jakiś problem już rozwiążę, to on przestaje mnie interesować. Jak teraz sobie pomyślę, że stracę tę pracę, którą mam, to mogę się zanutzić na śmierć. Można powiedzieć, że jestem pracoholikiem. Reasumując: lubiłem liczby, ciekawiły mnie wyniki, rachunków się nie bałem i tak jest przez całe życie.

Rozmawiali: Zbigniew Leszczewicz i Katarzyna Pakuła-Kwiecińska

Pełna wersja wywiadu bogato ilustrowana zdjęciami oraz uzupełniona obszerną notką biograficzną zostanie opublikowana w rocznicowym albumie „Poczet profesorów”, który ukaże się na rynku na początku 2016 r.

Jaki jestem?

1. Główna cecha mojego charakteru

Lubię coś zrozumieć, nie lubię uczyć się na pamięć

2. Co cenię najbardziej u przyjaciół?

Lojalność

3. Moja główna wada

Pamiętliwość

4. Moje ulubione zajęcie

Od czasu do czasu coś obliczyć, nawet rozwiązać, wyprowadzić pewne wzory albo w lecie poprowadzić ładnie ogród

5. Moje marzenie o szczęściu

Żebym żył w jakim takim zdrowiu do końca

6. Co wzbudza we mnie obsesyjny lęk?

Postępowanie przywódców Rosji, bo przecież przyjaciół na Zachodzie mamy albo naiwnych, albo tchórzliwych

7. Kiedy kłamię?

Staram się nie kłamać, chyba że w sytuacjach nadzwyczajnych, pod groźbą utraty zdrowia czy życia

8. Słowa, których nadużywam

Nie nadużywam

9. Ulubieni pisarze

Zawsze podobał mi się Bolesław Prus

10. Czego nie cierpię ponad wszystko?

Obłądki i robienia ze mnie głupka

11. Dar natury, który chciałbym posiadać

Może cierpliwość?

12. Błędy, które najczęściej wybaczam

Słowa powiedziane przeciwko mnie, sformułowania powiedziane w gniewie

13. Czego zazdroścę innym?

Właściwie nikomu niczego nie zazdroścę

14. Książka, którą zapamiętałem

„Lalka” Prusa

15. Co wzbudza stale mój podziw?

Ludzie, którzy umieją ładnie malować. Podobają mi się niektóre akwarele, i to od dawna, od dzieciństwa

16. Czego nigdy nie zrobiłem, choć chciałem?

Nie mam nic takiego